

# PION

CENA 50 GR.

ROK V NR. 26 (195)

WARSZAWA

1 LIPCA

1937 ROKU

## TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TRZĘC

ELIZA ORZESZKOWA — OPOWIEŚĆ O WIELKIM KRÓLU SALOMONIE  
ROMAN KOŁONIECKI — LABORATORIUM TANIEGO OPTYZYZMU  
ZBIGNIEW JASIŃSKI — NIEPROPAGANDOWA PROPAGANDA  
JAN BRZEKOWSKI — MALARSTWO MAXA ERNSTA  
JÓZEF CZECHOWICZ — NOC

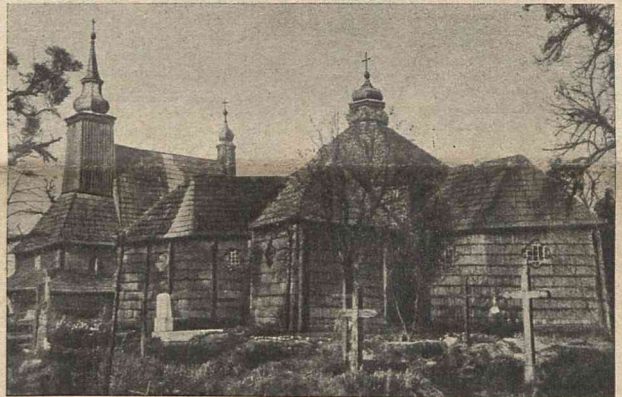
KAZIMIERZ SOWIŃSKI

### ODWIECZNIE POLSKA

Postulat uspołecznienia literatury, wyśuwany w latach ostatnich nie tylko z obszaru krytyki ale i ze strony samych twórców, był nawoływaniem, aby literatura wyszła z zakłętą kola estetycznego odosobnienia, aby z ziemi tej „co nie dotknęła ziemi” (Norwid), zstąpiła na grunt rzeczywistości by wespół z innymi dziedzinami twórczej myśli stanąć do pracy około gospodarstwa domowego Ojczyzny. Śpiewajcie o pracy ludzkiej, o roli, o fabrykach, o miastach, o młynach, o wielkich ludziach i o znakomitych czynach — wołał przed pięćdziesiąt laty Jalu Kurek w interesującym manifestacie, poprzedzającym jego *Spiewy o Rzeczypospolitej*. Jedną z „blizn dotkniętych”, od dawna czekających na uważne spojrzenie pisarzy, był sierocy los polskości za naszą północną i zachodnią granicą. O Mazurach i Śląsku pisano dotychczas uczone rozprawy, udokumentowane monografie, ale prace te, obliczone na określenie użytek, trafiające do rąk fachowców, nie zdobyły wywołać szerszego rezuciansu i utrwalic się w opinii publicznej. Tylko dzieło pisarza, działające nie tyle wymową zebranego materiału rzeczowego ile raczej sugestią, może wrośnąć w myśl najszerszych warstw jako jej nabytek nieziszczalny. Ostatni sezon wydawniczy przyniósł nam bogaty plon dwóch odkrywczych wypraw pisarskich w tamte właśnie tereny: *Na tropach Śmiełka Wańkowieza i Na Śląsku Opolskim* St. Wasylewskiego (wyd. Instytutu Śląskiego, Katowice 1937). Bez przesady można powiedziec, że dopiero ci

pisarze odkryli te wielkie skupiska polskości dla świadomości ogóln. Publikacje tego rodzaju to czyn społeczny o wartości wprost nieocenionej. Obie są owocem nie tylko skrupulatnego studiowania źródeł ale i bezpośredniej obserwacji. A jakkolwiek żadna z nich nie należy do literatury *sensu stricto*, to przecież prawdziwy temperament pisarski obu autorów podnosi je do rangi artystycznej.

Nazwa „Śląsk” wywołuje w naszej pamięci obraz ziemi, czarnej od węglowego pyłu, pooranej żyłami odkrywek i nierównościami hałd, najeżonej iglicami kominów fabrycznych, na których niby na gigantycznej kolumnadzie wspiera się niebo, obciążone ciężką zasłoną dymu. A jeśli już spojrzymy na tę krajinę oczyma uwolnionymi od tego najprostszego skojarzenia, zjawi się przed nami pełna uroku Istebna czy wtopiona w zieleni świerków Wisła... Śląsk Czarny i Zielony. Te nazwy nie są martwymi tylko epitetami, które ostaly się w mowie wskutek długowiecznego nawyku — zawiera się w nich w skrócie najlapidarniejszym i najprościej rzecz ujmującym charakter tych polaci kraju. Olbrzymie pracowisko, nieustannie zasilające energią wszystkie dziedziny życia Rzeczypospolitej, i rozległe łaki wydzwignięte na zchoza Beskidu — jakby stworzone dla odpoczytku i wytchnienia. O Śląsku, którego emblematem jest kolor najskromniejszy, bo biały, pamiętamy najrazdziej. Rozciągnięty na otwartych równinach Przyodrze, bie-



KOŚCIÓŁ W OLESNIE

lejący ścianami chałup i bierwionami drewnianych kościółków, których przytuliło się tutaj do żywej ziemi tyle jak nigdzie w reszcie Polski, — pozostał dla nas prawie nieznanym. Słusznie stwierdza Stanisław Wasylewski w pierwszych niemal słowach swej pięknej monografii, że o Śląsku Białym, Opolskim, najmniej się wie i najrazdziej mówi.

I to nie tylko dziś. „Dlaczegoż w Poznaniu nas Górnolazaków lekce uważają” — zalił się w liście do Libelta Józef Lompa, prawdziwy ambasador Śląska w drugiej połowie ub. wieku. Od długich stuleci wyłączony poza nawias państwowości polskiej wskutek doraznych interesów czy konieczności, pozostawiony samemu sobie, już od wczesnego średniowiecza szedł Śląsk oddzielną od reszty Polski drogą. „Gdy inne granice — mówił Józef Piłsudski w r. 1922 w Katowicach — były świeże i istniały od jednego wieku zaledwie, ta istniała od dziesiątków i dziesiątków pokoleń, które żyły i umierały z tym przekonaniem, że jest ona trwała, niezłomną”. Podziw prawdziwy ogarnia, gdy sobie uświadczyć, że mimo długotrwałych przesładowań politycznych i planowej kolonizacji polskości Śląska pozostała prawie niezachwiana do dziś. Niezmożeni autochtonowie-sublokatorzy na ziemi swojej od wieków, przetrwali na swych ojcowiznach niejednokrotnie obcą kulturą mimo tysiącletnich jej wpływów. Upór, z jakim Ślązak w latach 1919 — 21 po trzykroć powracał do walki zbrojnej, sami Niemcy przyznawali do działania wody zakłónej — tak był ciągle, żywiołowy i nieopodważany.

Budzenie świadomości pleiennej po-

stępowało zresztą powoli. Dusza tych Polaków, najstarszych z mowy, obrzędu i tradycji, ale z uświadczeniem narodowego najmłodszego, ugorowała przez długi czas. Pocucie łączności z Macierzą sięga w przeszłość nie głębiej niż do trzeciego, czwartego pokolenia. Bywa nierazdko, że budzi się dopiero dziś. Proces ten wezbrał na sile równocześnie z postepem germanizacji, jak echo wzrastające wraz z natężeniem głosu. Przykładem nieustępliwości pleiennej Opolan może być ich stosunek do kolonizacji niemieckiej, którą zaczęto systematycznie prowadzić od połowy XVIII wieku. W ciągu lat 50-u liczba osadników osiągnęła sumę 170 tysięcy, nie licząc urzędników Niemców. W porównaniu z 600 tysiącami tubylców jest to procent olbrzymi. A przecież wieś opolska do dzisiejszego dnia pozostała niezachwiana w swej mowie odwiecznej i obyczajnej. Gorzej było w miastach, które dziś prawie całkowicie zamieszkałe są przez napływającą ludność niemiecką i tak przeniknięte jej duchem, iż trudno uwierzyć, że ostateczna ich germanizacja dokonała się mniej więcej przed stu laty dopiero. Germanizacja, trafiająca na wsi na grunt tak oporny, w okręgu przemysłowym postępuje szybko. Inżynierowie i sztygarzy tłumia polskości górnika na każdym kroku. Uspołecznienie gospodarce Śląska Opolskiego w porównaniu z resztą Reszcy hamuje w pewnym sensie postępy germanizacji, stwarzając nastrój nieprzychylny dla niemieczyzny. Z drugiej jednak strony, brak inteligencji polskiej i oportunizm pozostałych jej reszek, szczególnie kleru, pozostawia górnika i chłopca zdanych na wła-



KOBIETY Z ROZBARKU



sną wyłącznie wolę wytrwania. Przed wojną procent inteligencji był znacznie większy. Po podziale zaznaczył się masowy jej odpływ do polskiej części Śląska. Niektórzy musieli wyciekać skompromitowani w oczach władz wskutek działalności politycznej, najczęściej jednak emigrowano aby trudne życie za kordonem zmienić na swobodniejszy żywot w województwie śląskim. Z małymi wyjątkami zanikł już — zdaje się niepowrotnie — typ działacza w stylu wspomnianego już Lompy, pierwszego budziela utajonej polskości Opolan, który trwał na swej placówce oddany heroicznemu zaiste służbie, mimo że władze za wszelką cenę starały się usunąć go z terenu.

Jak uintensywnienie germanizacji zbiega się w czasie z postępową regeneracją polskości Śląska, tak przedziwnym zbiegiem losów niszczenie ostatnich śladów po piastowskich władcach tej ziemi przyczyniło się do wydobycia spod zwalisk świadectwa, które zadokumentowało prawdziwą jej słowiańskość. Przy kopaniu fundamentów pod gmach rejejacji, który miał stanąć na miejscu zburzonego zamku piastowskiego, natrafiono na starosłowiańskie grodziszcze. „Ten sam instynkt niszczący, który w r. 1930 triumfalnie wywalał ruiny zamku piastowskiego w Opolu, natknął się przy przrzątnięciu gruzów po pracownię rozwalonym zabitym... na dokumenty i metrykę tej ziemi” — jak to pięknie formułuje Wasylewski. Powiedźmy więcej: wykopalisko sprzed lat co najmniej tysiąca zaświadczyło nie tylko o przynależności plennej tego kraju, ale i o jego kulturze. To przedhistoryczne Opole było mia-

JÓZEF CZECHOWICZ

N O C

Bursztyn w gąszczu żegginów  
błyski rzuca sówite.  
A ty? Tyłko bursztyn  
cieniem w liście spowitym.

Kwiaty żółte w ciemności  
rozłożyły się mocno,  
pachną snarwy i brośnich  
lunnie, ciężko i mroczno.

A ty? Wzbijesz się z trawy,  
gdy wiatr świtu się zerwie  
blekitnawy, laskawy,  
i rozchwiejesz się w czercwie...

A ty? Jakbyś przez zieleń  
gwiazdom kłaniał się patrząc,  
że nad rodem jelenim  
leduo, ledwo majaczą...

I pogasły. I w knici  
bursztyn jarzy się nisko,  
zanim w gwizdku kolei  
zgaśnie.

stem w naszym rozumieniu: składało się z pomieszczeń mieszkalnych, warsztatów rzemieślniczych i składów handlowych. W Opolu dzisiejszym wciąż natrafiamy na jakieś ślady kultury wczesno-historycznej.

Udział Śląska w kulturze polskiej jest w dobie późniejszej niemały. Tu, w Henrykowie pod Wrocławiem, zapisano po raz pierwszy (w r. 1270) całe zdanie po polsku. Z Wrocławia pochodzi pierwszy druk polski. Na Śląsku Dolnym, w Kładzku, tuż nad granicą czeską, powstała (w r. 1398) najpiękniejsza księga średniowiecza: Psalterz, Floriańskim potem zwany. Stąd pochodził Witelo, rówieśnik Tomazasa z Akwinu, autor traktatu o perspektywie,

który zawierając odkrywczo na swój czas teorię widzenia wyprzedził psychologię nowożytną. Tu Jan Dzierżon, „książe pszczoł na Katowicach”, jak go nazywano w prasie niemieckiej, dowiódł partenogenezy u pszczoł. Z bogatej kroniki kulturalnej Śląska podano momenty najcharakterystyczniejsze — ważne nie tylko dla polskiej myśli.

Politycznie między trzy państwa rozdzielony, stanowią Śląsk kraj jednolity przede wszystkim pod względem narodowościowym, ale także jako zespół uzupełniających się wzajemnie rejonów o różnym stopniu uprzemysłowienia. O odrębności Śląska opolskiego można mówić tylko w

sensie przeciwstawienia krainy rolniczej zagłębia kopalni i hut.

Choć jesteśmy rozzerwani tuymi kordonami,  
Po Brynicy obu brzegach my zawsze ci same

— śpiewał rapsod tej ziemi, górnik, Maksymilian Jasionowski. Trzosecząc się o jutro Śląska, powiada inny jej piewca, Norbert Bonczyk: „Ziemi, dokąd swój język kochasz, bądź spokojna”. Umocniłby się sam w tym spokoju, gdyby zobaczył, że dziś jego poemat *Kościół Miechowski* jest dla młodzieży polskiej elementarnym świadomością narodowej. Na pół wieku przed ukazaniem się tej książeczki prorokował radea Benda z Opola: „Pewny jestem, że nie trzeba więcej niż pół wieku, aby w tej niemieckiej prowincji zupełnie wygubił język polski”. Trwa ten język do dziś nie tknięty prawie przez obce wpływy. Badania dialektologów wykazały, że wpływ niemiecki jest nieznaczny, w pewnych rejonach Opolszczyzny mniejszy nawet niż w innych dzielnicach kraju. Na wsi opolskiej, w „sędziwym macteczniku opolszczyzny”, wśród dziesiątków drewnianych kościołków trwa do dziś — niespożyty i niezmienny jak krajobraz tej ziemi. Wkorzeniony w grunt mocno jak owe lipy, które znaczą drogę pochodzą króla Jana, gdy, śpiąc pod Wiedem, przez Odrę się przeprawiał. Opolszczyzna, mimo długowiecznego nacisku obcej kultury, mimo teroru, po dziś dzień zachowała swój charakter w stanie niekaszonym. Uparta jak lud tamtejszy. Niezmożna. Odnwiecnie polska.

KAZIMIERZ SOWIŃSKI

ELIZA ORZESZKOWA

OPOWIEŚĆ O WIELKIM KRÓLU SALOMONIE, PIĘKNEJ SULAMIT I MĄDREJ KRÓLOWEJ SABIE

W olbrzymim bogactwie korespondencji Elizy Orzeszkowej, wydawanej obecnie przez Towarzystwo jej imienia, znajduje się między listami powieściopisarki o prof. Tadeuszu Garbowickim, współautor powieści, *Ad Astra* niezmiernie interesująca *cr ed o* życia bibliki myślicielki. W formie poetyckiej przesyła Orzeszkowa wznaję swój stosunek do rzeczywistości, który da się zawrzeć w trzech słowach: „amarność”, „znikomość”, „nieświadomość”. Ale chociaż istnienie jest męką i utrapieniem, bo wszystko na świecie zawodzi, chociaż nawet miłość nie może przewyciężyć goryczy życia, nie wolno człowiekowi upadać na duchu. Praca i wiedza oparte na cierpliwości — a dla wybranych twórczość — stanowią nigdy niewyczerpane źródła szczęścia i pociechy.

Fragment poniższy, rzucający wiele światła na filozofię życiową Orzeszkowej, wejdzie do drugiego tomu jej listów.

IZA KUZIŃSKA

10/IX 1899, Grodno.

Król Salomon, mędrzec, jak wiadomo, nieporównany, znajdował się w momencie pisania dzieła swego, któremu przyszło dać miała nazwę *Księgi Ecclesiasty*, a którą on zatytułował zamierzając *Epitalamium na zaślubiny Pesymizmu z Melancholią*. Siedział król Salomon w pałacu swoim na krześle z kości słoniowej i, na złotym stole, złotym, pięćmi wysadzonym szmaragdami, karty pergaminu okrywał strofami następującymi:

Marność jest klątwą ziemi snu.  
A dziełem jego nieświadomości,  
A losem jego dzieł — znikomość,  
A imię jego proch i glina.

Próżno się kusi wleźć duchem  
Z pyłu, gdzie trawi go tęsknota;  
Próżno się zrywa i szamota  
Skowan glinianych pęt łańcuchem.

Dnie jego są jak dnie najemcy,  
A jak sęp głodny jego serce,  
I w wiecnęj z sobą on rozterce,  
I nie masz, nie masz dlań rozjemcy.

I cóż ma człowiek z trudu swego,  
I z prac tych, które wszczął pod słońcem.  
Czas jego pędzi trybkiem gołębim;  
Znikł — a nie widział nie trwałego.

Rozkosz i ból, co pierś nam wzdyma,  
Mijają tak, jak szybkie lodzie;  
Chwil kilka drży ich ślad na wodzie —  
Uciekły już i — i już ich nie ma.

To napisawszy król Salomon uczuł się naderżycie smutnym, zwątpiałym, zniechęconym, rozpaczoną, że pióro szmaragdowe z palców wypuściwszy wstał z dół złotego stołu, rozdarł na sobie szaty i w szatach rozdartych wyszedł z pałacu marmurowego sam jeden bez swity, idąc, idąc, idąc kędy oczy poniosą. Poniosły oczy króla Salomona ku szczytom porośłym cedrowymi i figowymi drzewami, w których cieniu usiadł

i zaczął sobie głowę, z której przedtem już zrzucił był koronę, prochem spod stóp cędrowych brany posypywać. Posypywał głowę prochem, w ten sposób dał Pesymizmowi z Melancholią zaślubiny wylawiając.

Wirują światy w rączym pędzie  
Wiecznym swym torem bez wytchnienia;  
Tak było w pierwszym dniu stworzenia,  
Tak jest i dziś — tak zawsze będzie.

Do morza może znową rzeki,  
To zaś je znowu chmurom zwraca;  
Od wieków trwa ta próżna praca,  
I będzie trwać po wszystkie wieki!

Do podmogłonych dążąc czasów  
Kroczy wciąż ludzkość bez przestanku;  
Tak było w pierwszych dni poranku,  
Tak będzie aż do końca czasów!

Plon zgonów plonie żywot lasy,  
I powrót śmierci plon oddawa;  
Tak chę przyrody trwałe prawa,  
Tak będzie aż do końca czasów!

To, co istnienia zwiem imieniem,  
Co zwiem poczęciem i konaniem,  
Jest tylko prochów wirowaniem,  
I męką — ciał i utrapieniem!

Tu odstąpiła króla Salomona nawet zdolność do wierszowania i począł tylko nieustannie usty, sercem i myślą powtarzać: „*Vanitas vanitatum! Vanitas vanitatum!*” etc., etc. (Wiele przemawia za tem, że powtarzałby: „*Tout passe, tout casse, tout lasse!*”, ale przypuszczać należy — choć historia nie o tem nie mówi — że po francusku nie umiał. Wątpliwem jest także czy umiał po łacinie, lecz w braku innego tekstu, ten powszechnie przyjęty został). „*Vanitas vanitatum!*” powtarzał tedy król Salomon i już nawet prochu nie spał sobie na głowę, która, tak jako i ręce, apadła bezwładnie. Był — unicestwiony!

Wtem, o dziwy! — spomiedzy cedrów obrastających górę Libanu, z cienia ich, pełnego przedtem głuchej ciszy i znojęj epiekoty, dobył się naprzód szelest, jako stapanie lania lekkie i plochliwy, a potem wzbił się śpiew, który nutami ze srebra i kryształu wolał.

O, gdzież jest — tak wołał rzewny —  
Kochany mój — choć dziś nie znamy,  
Wszystką mi duszą ukochany,  
Tęsknotą serca mi pokrewny.

Ja nie znam ciebie — ale czuję,  
Woiń kwecia mi o tobie gada,  
Śpiew ptaśzki mi cię zapowiada,  
Krzyk duszy ciebie mi zwiastuje...

Jam tobie, a tyś miem potrzeba,  
I rozłączeni w łażach ustajem,  
Jak palmy dwie, co tęsknią wzajem,  
Przez wszystkie stępy, wszystkie nieba.

Bo krzywość świata i zawilość  
W tęsknotach dzieci ziemskie miota,  
Gdy je omiata źródł żywota,  
Mądrość mądrości wszystkim — miłość!

Jeszcze nie przebrzmiały strofy te, gdy król Salomon stał już u skraju cedrów, w cieniu ich ciekawy i zachwycony wzrok zatapiając. Tego się nie spodziewał. Mądry był, a nie wiedział, że zarówno gromy, jak promienie losu spadają niespodziewanie, nigdy nie wiedzieć kiedy i skąd. Zachwyt jego stał się większym jeszcze, gdy ujrzał wychodzącą z cieniu cedrów postać śpiewaczki... Jaka była, zbyt długo opisywać i dość powiedzieć, że była to Sulamit i że król Salomon bardzo wkrótce, po jakiejś rozmowie zapewne, o której przecież mileżą dzieje, strofom Sulamity, następnymi strofy odśpiewywać zaczął:

Ze lwiego do mnie zesłał juro  
Od słońca złota, cała wdająca,  
Jako lipowca noc miesięczną,  
Przeróżnego pełna czaru.

Była jak zorza w swej ozdobie,  
I jako srebrny pieknie — czysta,  
I jako słońce — promienista,  
I wszelką wdzięczność miała w sobie.

Warkocz jej czarność miał hebanu,  
A zęby pereł drogiej białość,  
A kibić palmy okazałość,  
A szaty miłą woiń Libanu etc., etc., etc.

Aż na koniec cedry Libanu, i szczyt Syjonu, i najbardziej samo serce króla Salomona, rozbrzmiało triumfalnym, przez szal radości w wicher zmienionym krzykiem *Pieśni nad pieśniami*:

Pląsaj Karmelu, skacz Libanie,  
Kłaskajcie góry i doliny,  
A boki znalazł skarb jedyny,  
I w nim jest moje ukochanie.

Ze snu się strugo zbudź w parowie,  
I mój Jordanu Jordanu fall,  
A Jordan morzu niech go chwali,  
A morze, wszystkim ziemii powie.

Wstań wietrze luby, wiosny dziecicie,  
Weselem przepasz wszystkie góry,  
I zbudź słowików wszystkie chóry,  
I rozkwieć wszystko dolin kwiecie.

Niech płyną śpiewy i woności,  
Niech tętni zewsząd psalm zachwytu,  
Bom znalazł klucz zagalki bytu,  
I owoc dam mi jest w mądrości!

Odpowiedzialność za zgodę brzmienia strof powyższych z tekstem Salomonowym spoczywa na tłumaczu tekstu tego, poecie zrodzonym w 19 stuleciu ery Chrystusowej na ziemi leż i stugiel, a noszącym imię Włodzimierza z a g ó r s k i e g o. Jakkolwiek bądź, taką to jest historia powstania słynnego utworu poetyckiego, który nosząc miano *Pieśni nad pieśniami* przenika długie wieki i tonem najwyżej radości i rozkoszy życia, a napisanym został tą samą ręką, wypiewanym z tej samej piersi, które napisały i wypiewały *Księgi Ecclesiasty* przenikającą długie wieki tonem najstraszniejszego i najgłębszego bólu i rozpacz. Stąd wniosek:

że zmiennymi są i los, i człowiek, a także, że drugi zawsze choć trochę ufać pierwszemu powinien. Kto wie, kto przewidzi, kiedy nadejdzie moment zaśpiewania:

„Pląsaj Karmelu, skacz Libanie!”

Ale to jeszcze nie wszystko. Dotąd mówili egzegetyci, mężowie bardzo uczeni, ale pedanci, nie wszystko o życiu i sercu człowieka z pergamino spróchniałych wyznaczać mogący. Przyszli po nich członkowie rodu nierównie przenikliwszego, poetami zwani, i odkryli w życiu Salomonowem jeszcze jeden epizod, w którym z dalekiego Wschodu przybyła do niego królowa Saba i przywiozła mu trzy dary: myrrę, złoto i kadzidło. Po co przybywała z tak daleka i co to dawa, nie przedstawiającą dla tak wielkiego mocarza nie osobiwego, znaczący miały? Nie odgadli tego uczeni badacze tekstów starodawnych, wytłumaczyli poeci. Za pomocą najostrożniejszego z narzędzi analitycznych nazywającego się intuicją poetycką dowiedzieli się oni, że i Sulamit, chociaż „jako srebrny księżyc czysta i jako słońce promienista”, niedługo wielkiemu sercu, a większemu jeszcze umysłowi Salomona za „skarb jedyny” starczyła. Była to podobno, w „szatach mających woiń Libanu (i w dodatku mile szleszczących, czyli s u r s z a c y c h), osoba dość pływka i mało duchowo wielkiemu do pary będąca. Węć król Salomon, po dostatecznym napięciu się na „włosy z hebanu” i „kibić palnową”, znowu na gorzką nutę cę nucić zaczął, gdy dowiedziała się o tem królowa Saba i na ratunek przywiozła mu trzy dary: myrrę, czyli balsam dobowany z pracy i wiedzy, złoto, czyli cierpliwość dobywającą metale cenne z mikczem rudy ziemskiej, i kadzidło, czyli tę lotność ducha, która dymem i wonią poezji i ofiary z tego świata ńdży i mąk ku niebiosom czystości i odpoczniciu — (urojonym może, lecz może też i istotnym, skoro obraz ich wyobraźnia ludzi niektórych na świat ze sobą przynosi) — porwała (styl w tem miejscu pozostawia nieco do sądzania) i jeżeli nie zbawia, to wzmacnia, jeśli nie uszczęśliwia, to pociesza. To tylko jest pewnem, że król Salomon otrzymawszy dary królowej Saby, jakkolwiek i do Sulamity nawet rozczarowany, żył, świątynie wspaniale budował, księgi mądrości pisał, aż uczynił tak, jak czynią wszyscy — to jest umarł, z tą tylko od wszystkich różnicą, że umierając wiedział, że żył nienaprawdę i że duch jego na świat metafizyczny wejdzie nie jako żdżdo znikomego prochu, lecz jako twór, który przez moment bytu swego w świecie trzymiarowym tak wzrósł w godności i chwale, że mieszkającym czterowymiarowego świata być — stał się godzien.

Więcej — o królu Salomonie i dziejach jego — nie już nie wiem.

ELIZA ORZESZKOWA



ROMAN KOŁONIECKI

## LABORATORIUM TANIEGO OPTYMIZMU

Dookoła „Krzyżowców” i problemu powieści katolickiej

Sprawa problematyki katolickiej w powieści i literatury katolickiej w ogóle jest u nas od lat kilku coraz częściej omawiana na łamach czasopism i coraz większą rolę odgrywa w naszym życiu kulturalnym. Nie wszystkie głosy w tej sprawie posiadają odpowiedni poziom i wartość. Tak np. wypowiedzi *Verbum* czy *Kultury* nieposobno porównywać z wywodami *Mysli Polskiej* lub *Prosto z Mostu*, gdyż zbyt wielka zachodzi tu dysproporcja. Artykuły J. M. Świećickiego w majowym i czerwcowym numerze *Przeglądu Powszechnego* („Postawa duchowa Szuczuckiej w Krzyżowcach” i „Pesymizm Szuczuckiej w Krzyżowcach”) w pewnych swych aspektach nie stoja, niestety, o wiele wyżej, niż artykuły ostatewnego Napoleona z *Myslenia*, Doboszyńskiego, jakże ludzko podobnego do swego pierwowzoru z chełostnowskiej powieści! Zarówno przedmowa do powieści Świećickiego o cenie dzieła Szuczuckiej, jak i wysunięte przez niego przy sposobności twierdzenia ogólne oparte są na argumentach tak słabych i pełnych sprzeczności, na przesłankach tak dalece spornych, że trudno na enuncjację te nie reagować: zagadnienia, których auton dotyka, są zbyt istotne i aktualne.

Świećicki rozprawia się w *Krzyżowcach* jako z powieścią historyczną i zarazem powieścią katolicką. Zarzuka Szuczuckiej, że niewolniczo trzymając się źródeł stworzyła zwycajny faktomataz historyczny, podkopywała ideę odbrązowienia krucjaty. Atakuje nie tylko artystyczną wartość książki, lecz także — i przede wszystkim — jej założenia ideowe, które uważa za niezgodne z „postawą katolickiej duszy” i „zmysłem katolickim”. W rezultacie, zdly skwalifikowawszy najpierw *Krzyżowców* jako dzieło sztuki, odmawia im miana powieści katolickiej (co prawda, nie formuluje tego nigdzie bezpośrednio) i przez strażę przed możliwością zgnębienia ich oddziaływania na psychikę katolickiego czytelnika. Jak z tego widać, w wytoczonej przez Świećickiego batalii krytycznej zastosowane zostały nie tylko zwykłe kulomioty, ale i działa dalekostrzelne. Nam przypada teraz w udziale trudna rola korespondentów wojennych.

Zastanawiając się nad niezwykle ponurym kolorytem monumentalnego fresku historycznego Szuczuckiej, Świećicki przyszedł do przekonania, że winę za to ponosi zbyt prymitywne uzgadnianie wizji poetyckiej z przestudiowanymi materiałami historyograficznymi. W zestawieniu z tym zdwicz musi inny zarzut recenzenta: że niektórzy bohaterowie Szuczuckiej są „pono sportretowani niezbyt zgodnie z historią”. Widocznie uważa on autorkę *Krzyżowców* za świadoma pomniejszycielkę krucjaty, która po prostu tendencyjnie adaptowała pewne źródła historyczne, pewne inne zaś celowo w pominała; wymieniając dla przykładu kilka książek o wyprawach krzyżowych, twierdzi, że nie wynika z nich wcale tak upiorny obraz krucjaty jak u Szuczuckiej. Zarzut powyższy przestałby być zarzutem, gdyby Świećicki wziął pod uwagę, że jest to wyłącznie sprawa odpowiedzialności artystycznej pisarki; ale on właśnie odmawia Szuczuckiej postawy rasowego epika, przy pisując jej natomiast postawę historyka-krytyka wobec opisywanej rzeczywistości, a przy tym niegodny prawdziwego pisarza narów myślenia nagimi faktami. Tak jednak nie jest.

Odtwarzając krucjatę jako pasmo straszliwych zbrodni i straszliwych cierpień, a równocześnie odnosząc się do niej jako do wielkopomnej epopei chrześcijaństwa — Szuczucka postępuje konsekwentnie, gdyż sprzeniewierza się zawodnej wymowie samych tylko faktów i daje w ten sposób dowód, że potrafi odróżnić prawdę kronikarską od prawdy historyczno-faktycznej. Wyruszając na polow świętych w masę szarego żołnierstwa krzyżowego (jak radzi jej krytyk z *Przeglądu Powszechnego*), Szuczucka mogłaby może odmalować krucjatę w barwach nieco jaśniejszych; jednak nie jest to pewne. Świećicki twierdzi, że elita krzyżowców była wątpliwej wartości i że złoża prawdziwej wielkości moralnej tkwiły w wielotwarzowych tłumach — popada jednak w sprzeczność, gdyż przytacza później z aprobatą wiarogodne świadectwo Macaulaya, który widzi wielkość tylko w oligarchii rycerskiej średniowiecza, wśród wodzów i chorążych krucjaty.

Jedną z wad artystycznych *Krzyżowców* jest istotnie schematyzm w budowie poszczególnych postaci: wydaje się, jakby Szuczuckiej brak było głębszej intuicji psychologicznej, która pozwoliłaby jej stwa-

żyć figury bez wyjątku plastyczne i pełne. Ale Świećicki w tej przyrodzonej ułomności pisarki dostrzega również — tendencyjność: „Katolicy (u Szuczuckiej) są zawsze stroną niższą i niegodniejszą”. Kubek w kubek to samo, co w zeszłym roku zarzucił Doboszyński Mauriacowi! Ale ani on ani Świećicki nie zdają sobie sprawy, że ze słusnością o wiele większą można by ten zarzut zwrócić w stronę Sienkiewicza (którego Świećicki tak nieopatrznie wywyższa ponad Szuczucką) jako autora *Quo vadis*, gdzie postaci Petroniusza, Nerona i Eunice są znacznie pełniejsze, bogatsze w plastykę i ekspresję, niż np. postaci Winjucjusza i Ligii. Ale — może *Quo vadis* nie jest powieścią katolicką?... Bo i tu przecież „dobro” wychodzi papierowe, blade, nieludzkie. Może raczej miał Bernanos, gdy mówił, że tylko zło dla artysty jest wizją ciekawą i urzekającą, dobro zaś wydaje się nudne i bezbarwne (*Pod słońcem szatanu*). W arcydopiętej metaforze Shawa widzimy Komandora, przychodzącego z wizytą do piekła, gdzie przebywa Don Juan — w niebie monotonia i cześć. Pamiętam chyba także przepyszną urodę rzeźbionych szatanów Vigelanda. Diabelskie paradosy — prez! Już słyszę, jak się w Polsce rozlega parafrazą ironiczno-zarobliwono okrzyk Barfkowskiego, wygłoszonego z łamów *Prostu z Mostu*: „Córku, nie czytaj Szuczuckiej i... Sienkiewicza!”

Szuczucka nie odbrązawia wcale krucjaty — jak się to wydaje Świećickiemu, — widzi całą wielkość moralną, jakiej się wśród jej lun i popiołów dopracowało średniowieczne rycerstwo. „Najpiękniejsze kwiaty wojennej cnoty, najdroższe klejnoty religijnego zapalu, które w ludziach pochodzi przez Ziemię Świętą wysyłał, świadczył chyba dostatecznie o tej skali heroizmu, którą Szuczucka wyprawę krzyżową mierzy. Świećicki uważa to wszystko za skorowidz cnot niejaką „cywilnych”, kwitujących bez udziału wiary, choć w innym miejscu sam za najwyższą zdobycz moralną wojny uznaje „heroiczne wyniesienie się ponad cierpienie i śmierć”. Oto, jak widać, nowa sprzeczność w kruchych jego wywodach.

Przedstawiając cały bezniazdła, rozplenione przez krucjatę, Szuczucka jednak jej nie potępia. Jest w tym niekonsekwencja jedynie pozorna. W jej katolizmie bezniazdła miłosierdzia Bożego zdolny jest zrównoważyć zawsze bezniazdła człowieczych grzechów: krzyżowcy dostępują zbawienia pod murami Jerozolimy, czego widomym znakiem staje się cud: — umarli pomagają żywym w decydującej bitwie, ostatnie przed progim zwycięstwa! Ma rację Świećicki, że ta wiara autorki nie została wpleciona w samą fakturę epicką *Krzyżowców*, znajdując upust jakby między wierzeniami, w luźnych wstawkach frazeologicznych. Ale jest to znówu zarzut natury czysto artystycznej, nie godzący ostrzem w postawę duchową pisarki.

Jeżeli miarą artystycznym w powieści katolickiej uczynimy wizję utajonego działania łaski Bożej w duszy człowieka — to tym samym postawimy pisarzkowi cel nieosiągalny: chwila działania łaski jest przecież stanem pozaludzkiem, jest mistycznym uniesieniem ducha, który osiąga już ostatnie szczeble świętości. Jak to opisać, jak odtworzyć? Nawet pisarz tak świetnie obznajmiony z całą literaturą mistyczną świąt, jak Bernanos, rezygnuje z góry z wszelkich prób oddania tej wizji łaski, nawiedzającej po kryjomu duszę (zwrócił mi na uwagę Rafał Blüth). W jego *Dzienniku* wpojętko *proboszcza* w kilku miesiącach spotykamy strony wykropkowane: mają one — jako wybicie artystyczny — symboliczne kartki wyrwane z pamiętnika bohatera, ale z dalszego ciągu lektury czytelnik domyśla się łatwo, że w bohate-

rze Bernanos zaszedł jakiś ogromny, tajemniczy wstrząs, — że zaszła w nim wielka przemiana duchowa. Tylko że artystyczna rekonstrukcja tej przemiany wydawała się Bernanosowi zadaniem nie tylko przerstajającym najśmielsze aspiracje jego talentu pisarskiego, ale w ogóle niemożliwym do wykonania. Z tym samym przeświadczeniem musi się spotkać każdy pisarz katolicki, który chciałby napisać powieść o świętym.

Szuczucka — idąc w tym niejako za Biblią — znakiem zbawienia krzyżowców uczyniła cud, chwilę jedną — taką jak chwila nawrócenia się św. Pawła u bram Damasku, jak chwila namaszczenia wonnym olejem stóp Zbawiciela przez jawno grzesznicę Magdalenę, jak chwila skrucy ukrzyżowanego lotra... Odkupienie wszystkich nieprawości krucjaty, w taki właśnie kształt artystyczny przyobleczono, nie zadowala surowego krytyka *Krzyżowców*, mimo że tak je chwali cytowany przez niego J. Birkenmajer. W końcowym ustępie powieści Szuczucka podkreśla bardzo wyraźnie przełomowe znaczenie krucjaty na równoległym planie dziejowym: spowodowały one poprawę polityczno-społecznych stosunków w całej Europie, zbliżyły świat zachodni do wielkiej kultury bizantyjskiej i arabskiej, a przede wszystkim stały się dla Zachodu świetlaną legendą, wspaniałym mitem wychowawczym. I choć mit ten wyrósł nie na gruncie prawdy historycznej, wpływ jego okazały się nadzwyczaj owocne.

Zdaniem Świećickiego, wszystkie te fakty nie wyczerpywały jeszcze doniosłości krucjaty: „Fikcja może być ponad wszelką wiatliwość kulturalnie bardzo płodna, ale to nie znaczy, aby pod względem moralnym mogła być czynnikiem dodatnim”. Tym jednym zdaniem przekreśla nieostrożnie Świećicki potrzebę i w ogóle możliwość powstania jakiegokolwiek koncepcji powieści katolickiej. No ho jeśli by fikcja poetycka (a przecież ona stanowi substancję powieści) nie posiadała żadnego waloru moralnego, jeśli by nie mogła się stać jedną z dróg do osiągnięcia doskonałości moralnej — to literatura jest katolicki w ogóle niepotrzebna. Wygłaszając powyższe twierdzenie, Świećicki wciąga się mimo woli w błędne koło, gdyż uprzednio sam wymawiał Szuczuckiej niedostateczny wysiłek wyobraźni i ubolewał, że nie zajala w *Krzyżowcach* charakterystycznej postawy każdego urodzonego epika.

Ten ostatni zarzut polega zresztą na grubym nieporozumieniu, gdyż właśnie postawę epika, a nie żadną inną, przejawia Szuczucka w *Krzyżowcach*, przyjmując pełną odpowiedzialność za stworzony przez siebie świat, a zarazem zachowując wobec niego stosowny epicki dystans, nie ingerując w jego autonomię i żadnym autorytetem terażniejszości. Wszystkich swych bohaterów (a jest ich, jak to bywa zwykle w wielkich fryzach epickich, szereg arcydług) owiała aura głębokiej uczuciowości, poprzez mgły swego wzruszenia wywiodła ich postaci z fantazji (wyjątkowo udane są sylwetki braci Strzegoniów). To nie, że ta fantazja nasycona jest historiografią. Z tkliwą pobłażliwością wybaczają swym bohaterom wszystkie grzechy i słabości (co się tak Świećickiemu nie podoba), ulomnym zostawiają ułomności, pięknym — urodę, nieszczęśliwym — smutek, szlachetnym — wzniosłość.

Czyż nie tak właśnie patrzył Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* na litewskie zaścianki i mateczniki puszczajskie, na wypieczony we wspomnieniach malowniczy rezerwat ludzki, jakim są ci jego wyzyszc Soplicowie i Dobrzyńscy, Dowyckowie i Domeyckowie? Coż innego mogła Szuczucka przesłać w zamierzalą przeszłość swym zbrodniarzem i szaleńcem, bohaterem i polonizmem — jeśli nie przebaczenie dla jednych, a miłość dla drugich? Przebaczenie jest

najwyższym przywilejem człowieczeństwa, tak jak zbawienie jest najwyższym przywilejem boskości. Jeśli Szuczucka wybaczają wszystko grzesznikom, co sobie krzyże na piersiach przypięli — to znaczy, że solidaryzują się ze swą wizją.

Wychodząc na chwilę z kręgu samych negacji, w jednym ze swych artykułów daje Świećicki — co prawda niepełną — definicję powieści katolickiej: „Powieść katolicka winna porwać i przekonywać katolickiego czytelnika o prawdziwie Kościola, i to wcale niekoniecznie zamierzoną tendencją artysty, ale samą swą strukturą, wewnętrzną wymową swoich faktów”. W ostatecznym więc obrachunku fikcje poetyckie aprobuję, żądając tylko, by te fikcje swoją wewnętrzną wymową prawdą objawioną przyswiedzały. Znaczący był to krytyk, że uważa za pożądane, by wizje pisarzy katolickich wolne były od wszelkich nalotów dydaktyzmu, by pisarze ci byli wychowawcami nie przez kalkul mózgowy, lecz przez samą strukturę wyobraźni. Tę właśnie chrześcijańską strukturę wyobraźni nazywa — jak się domyślamy — „zmysłem katolickim”. Idea bardzo piękna — tylko że wtedy pisarzem katolickim czystej krwi mogły zostać jedynie... utalentowany święty.

To stanowcze wykluczenie programowego dydaktyzmu prowadzi do pewnych trudności w ocenie powieści katolickiej, będącej zarazem powieścią historyczną — a taki właśnie wypadek zachodzi, gdy się omawia *Krzyżowców*. Świećicki atakuje Szuczucką za epilog jej powieści (wyłączony właściwie z całości kompozycyjnej), w którym „zdobywa Jerozolima staje się dla podlego karierowicza w suttanie odciskiem do odegrania dominującej roli”. Szuczucka ma tu na swoją obronę zgodność z prawdą historyczną, poza tym zaznacza w posłowiu, że „Rzym usunął potem ambitnego patriarchy”. Czy, według Świećickiego, winna była pominąć to milczeniem, czy też popaść w konflikt z historią? Bo jeżeli tak, to byłby to akt świadomej tendencji dydaktycznej, i to akt o niedwuznacznej wartości moralnej. Autorka wybiera drogę inną: otwierając w epilogu łok smutną perspektywę na przyszłe dzieje Królestwa Jerozolimskiego, nie likwiduje bynajmniej odrodzonego mitu krucjaty, gdyż właśnie „wewnętrzna wymowa faktów” (której uwzględnienia domaga się Świećicki) każe jej wierzyć w zbawienne owocności rozpoczętego przez krzyżowych rycerzy dzieła.

W postawie duchowej Szuczuckiej wykrywa Świećicki utajone czy nawet podświadome tendencje pacyfistyczne, które rzekomo wpłynęły na jej wizję w sposób rozstrzygający. Każdemu, kto sobie przypomni, jaką pasją i żywiołowością odznaczają się w *Krzyżowcach* wszystkie partie batalistyczne, z jak imponującym zacięciem epickim pokazano tu wojnę i sprawy wojennego rzemiosła — ten uzna takie twierdzenie za gołosłowne.

Powrót Imbrama do domu, który Świećicki zestawia nawet z pewnymi scenami w *Remarque'a*, wypadł tak przynębiająco i bezradziejnie nie tylko dlatego, że Imbram uległ zupełnie powojennemu zalamaniu psychicznemu, lecz także dlatego, że wraca on przecież z duszą obciążoną zbrodą Ofki i zechceszzeniem zwłok Zbawiciela, a w ojezynie zastaje tylko — cichą mogilkę zony... Najgłębszy tragizm jego powrotu tkwi w tym, że jedyny człowiek, który może być przyniesić mu rozgłoszenie, ocalić duszę i przywrócić radość życia, — Ofka, — nie żyje. Trudno wymagać, by wewnętrzne poczucie Imbrama, że trwa w stanie straszliwego grzechu, Szuczucka nadała barwę pogody i wzniosłości. Zresztą — nawet gdyby to przeżycia wojenne były istotnym powodem klęski życiowej Imbrama, to i tak los wyznaczony mu przez Szuczucką nie byłby wcale dowodem afirmowania przez nią idei skrajnego pacyzizmu. Wojna jest wielką próbą sił i charakterów, jednych hartuje, innych łamie, i było by fałszem artystycznym, gdyby Szuczucka nie uzmysłowila tej prawdy.

Jeśli się nawet zgodzimy, że w powieści jej przejawia się ideologia pacyfistyczna, to i tak nie ma potrzeby uzależniać *Krzyżowców* od antykrucjatorskiego stanowiska Straimanna, ani tym bardziej poczytywać owego pacyzizmu za sprzeczność z duchem chrześcijańskim. Zaden z pisarzy Kościola nie pochwał wojny bez zastrzeżeń, a niektórzy — jak Laktancusz — potencjalni wojny bezwzględnie. Św. Tomasz autoryzuje wojnę sprawiedliwą i *prowadząc humanitarnie* — a chyba krucjaty humanitarne nie były,

## SPÓŁKA AKCYJNA DLA EKSPLOATACJI PAŃSTWOWEGO MONOPOLU ZAPAŁCZANEGO W POLSCE

podaje do wiadomości:

Od dn. 1-go lipca b. r. ceny zapalek pozostają obniżone o 20%,

a zatem w detalu pudełko zamiast gr. 10,

sprzedawane będzie po gr. 8

a pudełko zapalek t. zw. „kresowych” zamiast gr. 5,

będzie sprzedawane po gr. 4.



choć w nich nie stosowano (podobnie jak w wojnach współczesnych) najnowszych zdobyczy chemii i bakteriologii. Taki sam pogląd na wojnę widzimy np. u Skargi („Niemasz tak wielkiej nędzy, której by wojna nie przyniosła”; „...wojna na czas potrzebna, ale pokój zawładł lepszy”).

Koroną wszystkich zarzutów, które składają Świecieckiego do wystąpienia z tak surową opinią o duchowej postawie Szczuckiej, stanowi przygniatający pesymizm Krzyżowców. Ten pesymizm każe mu postawić pod znakiem zapytania katolickościę powieści. Nie podobna wprost pojąć, dlaczego Światopogląd pesymistyczny ma być sprzeczny z integralną „postawą katolickiej duszy”. Czy Kościół kiedykolwiek nauczał, że człowiek jest istotą z natury dobrą? Gdyby pierwsza krucjata wykazała niezłomny hart religijny wszystkich uczestników, Jerozolima

nie wpadłaby ponownie w ręce wyznawców Islamu i następnie krucjaty byłyby niepotrzebne. Przecież nawet ukrzyżowanie Chrystusa nie zdolało na wieki utwierdzić chrześcijan w cnocie.

„Natura ludzka — pisze Szczucka — tylko na mgnienie oka może stać się czysta i lotna... Sięga nieba na równi z aniołami i równocześnie opada bezskrzydła na ziemię, podlega niż kiedykolwiek”. Pomyślimy: tych smych prawie słów używa nihilista i światobureca Céline — a jednak między nim a Szczucką leży przepaść nieprzekraczalna. Céline pisał do całego świata obłądną nienawiścią — Szczucka świat kocha głęboko jako dzieło Boga i inaczej być nie może, skoro się wierzy, że krwιά Zbawiciela świat ten został po wszystkie czasy odkupiony. I czy można położyć jakieś granice Bożemu miłosierdziu?

Wiara stepia w człowieku ostrze samobójczego pesymizmu, bo nieprawościom ziemi przeciwstawia świat inny: niebo. Lecz jakże trudno wierzyć, skoro „wiara jest gwałtem zadanym rozumowi” (Zdziechowski)! Przysnajmy, że to zdanie traci jansenizmem. Ale — wbrew teozom powierzchownych krytyków — pesymizm Mauriaca i bliższej Mauriacowi Szczuckiej nie ma piętna jansenistycznego. Dzisiejszy katolicyzm francuski zerwał z jansenizmem nieodwołalnie. Pascal twierdził, że wiedza nie udoskonala duszy i może tylko utrudnić osiągnięcie zbawienia; dzisiejsi myśliciele katolicycy, tacy jak p. Maritain, budują coraz idealniejszą harmonię między wiarą i wiedzą, między wiarą i sztuką. Tylko dzięki tym usiłowaniom tak drobniagowo rozważa się teraz wszędzie np. zagadnienie literatury ka-

tolickiej, lub też zbieżności scholastyki i logiki wielowartościowej. Jednak wszystkie te próby nie są w stanie wykorzystać w nas niewiary w człowieka i zwątpienia o przyrodzonej dobroci natury ludzkiej, a nawet o jej zdolności do stałego trwania w stanie łaski. Z tej niewiary w człowieka rodzi się nieukojony pesymizm duszy katolickiej.

Wiara i praktyka życia chrześcijańskiego jest bardzo trudna i pisarze muszą się z tym pogodzić. Nie wolno im tej prawdy zarzaniać pocieszającą złudą. Jezeli i Szczucka, głosicieleka pesymizmu *pur sang* katolickiego, i ci, co chcą propagować wśród wierzących krótkowzroczny, byczoehłopski optymizm, są po spole żołnierzami Kościoła Wojującego — to w każdym razie nie spod tej samej chorągwi.

ROMAN KOŁONIECKI

ADRIAN CZERMINSKI

# RAPSOD KAPITALIZMU

Przed kilku tygodniami umarł John D. Rockefeller, najbogatszy człowiek świata, największy filantrop współczesny, najbardziej bezwzględny i twardy businessman, jeden z najsłynniejszych wiekiem i najżywniejszych fizycznie i umysłowo ludzi naszej epoki. Życie Rockefellera należy do najbardziej nieskomplikowanych żywotów wiekłych ludzi a zarazem jest pełne dziwacznych sprzeczności i nieoczekiwanych paradoksów. Kim był John D. Rockefeller na tle swojej epoki — jak wyrósł z niczego aby zawładnąć ziomem Stanów — co zdziałal, jak zorganizował naftę i — dobroczynność, można najłatwiej dowiedzieć się z jego własnych pamiętników i licznych biografii, poświęconych mu w literaturze zagranicznej. Jedną z ostatnich publikacji o Rockefellerze, najbardziej obiektywnych i rzeczowych, jest książka R. Courau p. t. *John Rockefeller le roi de petroleum*. (Paris 1934, Payot).

8 lipca 1839 r. w małej wiosce Richford nad jeziorem Erie przychodzi na świat chłopak, skazany na szare życie farmerskie. Ciężka praca skierowuje późniejszego miliardera do miasta w poszukiwaniu leższej i bardziej opłatnego zajęcia. Ukończywszy szkołę handlową — nauk humanistycznych nie cierpił od dzieciństwa i bał się książki jak ognia — stara się Rockefeller o posadę. Cleveland ogarnęła w tym czasie fala kryzysu i biedny młodzieniec musi kłotać do niejednych drzwi, zanim uzyska posadę pomocnika buchalteryjnego za wynagrodzeniem pół dolara dziennie.

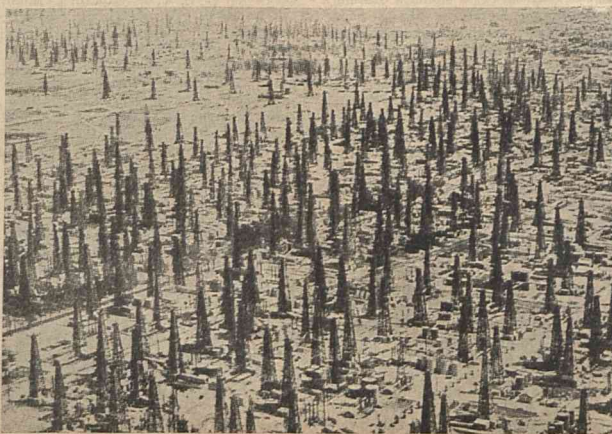
Jak wygląda w tym czasie życie młodego pomocnika buchalteryjnego? Rockefeller cały wolny od zajęć czas spędza na studiowaniu ksiąg handlowych, zestawianiu taryf i podpatrywaniu tajemnych przedsiębiorstwa. Duchowe życie zawiera się dla Rockefellera w czytaniu biblii i nucienu kościelnych hymnów, w pilnym uczęszczaniu na nabożeństwa baptystów, w ekstatycznym wysłuchiwaniu kazań i składaniu drobnych datków na cele kościelne.

Po kilku latach następuje przełom w tej szarej, nie nie znaczącej egzystencji. Jego szef odmawia mu podwyżki — ośmiu dolarów miesięcznie — i Rockefeller zakłada konkurencyjne przedsiębiorstwo. Młdy kwier przemienia się w zapobiegliwego businessmana, rozbudowuje swoje przedsiębiorstwo, organizuje całą sieć środków transportowych i zaczyna zarabiać — tysiące. W tym to czasie żeni się z panną Spelman, córką bogatego kupca, taką samą kwakierką i purytanką jak on i angażuje swoje niespodziewane zyski — naftę. Nafta 1862 r. jest domeną zupełnie nową i jeszcze nie wyeksploatowaną.

Trudno w dzisiejszych czasach zdać sobie sprawę z przewrotu, jakiego dokonało w gospodarstwie światowym odkrycie źródeł nafty.

Do Pensylwanii i Ohio zbiegają się ludzie ze wszystkich stron Stanów w poszukiwaniu bogactwa. Kapitaliści, wiertarze, przedsiębiorcy, inżynierowie, robotnicy, woznice, handlarze, niebieskie ptaki i markietanki ciągną barwnym, nieprzełiczonym pochodem w poszukiwaniu skarbow. Osady, wieś i miasta powstają w mgnieniu oka, wieże wiertnicze przesłaniają horyzont, a w ciągu jednego roku 6.000 ertzów naftowych dzurawia ziemię na brzegach jeziora Erie.

Rafinerie naftowe, pobudowane w pobliżu terenów kopalnianych, przeżywiają gwałtowne wstrząsy, nie mogą sobie poradzić z transportem drogiego cennego płynu. Transport ten odbywał się wówczas za pomocą beczek, załadowanych na furgony, które długim wężem wily się po rozmokłych i wyhoistych drogach ówczesnej Ameryki. Jezeli jeden wóz utknął w dziurze, zatrzymy-



SZYBY NAFTOWE W KALIFORNII

wał się cały pochód, a krzyki i przekleństwa wóźniców rozlegały się na kilka mil dookola. Kolej jeszcze wówczas nie było na tych terenach a rurociągi naftowe były systematycznie niszczone, przecinane i podpalone przez zorganizowane bandy wóźniców.

W tym okresie młody Rockefeller postanawia zaangażować swoje 35.000 zarobionych dolarów w przedsiębiorstwo naftowym. Ostrożny i przewidujący wszelkie okoliczności, rezygnuje z wielkiego ryzyka i zamiast rzucić się na wiercenie — mogące w jednym dniu uczynić go milionerem — ale również nędzarzem, — inwestuje kapitał w rafinerii. W ten sposób, mając stałe zapewnienie do plomy ropy naftowej, może ją z całym spokojem sprzedawać z małym, lecz pewnym zyskiem. Takie są pierwsze plany młodego nafiarcza. Niebawem jednak siecią swych wpływów i pieniędzy opanowuje środki transportowe, uzyskuje ciętą kontrolę nad konkurentami i staje się panem całego niemal okręgu naftowego. Skromny początkowo właściciel jednej z licznych rafinerii, zdobywa sobie coraz nowych klientów, buduje drugą rafinerię a niebawem otwiera zastępstwo handlowe w Nowym Yorku. Od tej chwili poczyna się nowa karta w dziejach Rockefellera.

Okres ten zbiega się z ekspansją naftową, walcząca o zdobycie dostępu do morza. Marzeniem wszystkich ówczesnych producentów jest przeprowadzenie rurociągów, które by odprowadzały naftę wprost do portów oceanicznych, starami zaś właścicieli miejscowych rafinerii jak najszybszy, najtańszy i najdogodniejszy transport oczyszczonej nafty do miejsc przeznaczenia. Rockefeller orientuje się błyskawicznie w sytuacji i wchodzi w porozumienie z kolejami, które za cenę udziału w zyskach dają mu specjalne taryfy przewozowe, utrudniając jednocześnie transporty jego konkurentom. Udaje się również Rockefellerowi udamenić budowę rurociągów i w ten sposób zyskać wyłączność eksploatacji. Posunięcia jego, kolidujące niejednokrotnie z ustawami, prawem i etyką, doprowadzają do tego, że Rockefeller znajduje się na lawie oskarżonych, jednakże dzięki zakulisowemu maniomacjom za każdym razem udaje mu się uniknąć wyroku.

Znaczenie Rockefellera, dwudziestokultu letniego podówczas młodzieńca, poczyna wzrastać z dnia na dzień. Młody nafiarcza dysponuje już milionami i mnoży je w sposób najbardziej nieoczekiwany; utworzenie traktu naftowego, walka z „niezależnymi” naf-

ciarzami, przeciwstawienie się opinii publicznej i władzom — oto stopnie, po których kroczy bogactwo i sława krwiożerczego milionera. Albowiem Rockefeller nie waha się w wyborze środków, które by mogły zrównoważyć jego konkurenta; krzywdzi, przekupuje, i gwałci wszystko, co tylko stanie mu na drodze. Opanowawszy niemal cały rynek naftowy Stanów w ciągu tych kilku lat, 1870 — 1877, staje się Rockefeller dyktatorem eksportu a niebawem i — produkcji nafty.

Miliony rockefellerowskie, gromadzone z taką zręcznością i łatwością, stają się niebawem solą w oku nie tylko jego konkurencji. Wychodzi ustawa, zabraniająca tworzenia trustów, Rockefeller zwalcza ją przez prawo, administrację i opinie. Przez przeciąg lat kilkunastu przyszył multimilioner walczą o każdy dolar wydzieranego mu bogactwa, nie dając się zepchnąć z drogi, na którą wkroczył. Miliony jego mnożą się, a wpływy i stosunki sięgają aż do Białego Domu.

Równocześnie energiczni i przedsiębiorczy ludzie organizują cały szereg dziedzin życia gospodarczego, wstępując w ślady Rockefellera. Powstają trusty stali, żelaza i węgla. Dyktatorowie finansowi wywierają coraz większy wpływ na życie publiczne. Ameryka staje się krajem potentatów finansowych, dyktujących polityce i wewnątrzmu życiu obywateli swoje prawa. Pierwszym spośród tych znienawidzonych satrapów złotego cieleca jest John D. Rockefeller.

Rok 1895 staje się dla krzesza naftowego kołnierzem jego zawrotnej kariery. Osiągnęła wtedy nieprzełomną cyfrę milionów, wycoufuje się nagle z pola walki, przekazując niemal wszystko swemu synowi. Czy Rockefeller wyczuł zmierzch kapitalizmu, zaczynającego się w kilka lat później zarysowywać w Stanach, czy nie chciał więcej jatrzyć przeciw sobie opinii publicznej, domagającej się uspołecznienia wielkich kapitałów? Dziwnym zbiegiem okoliczności wycoufuje się Rockefeller z interesów wycoufuje się z jego chorobą — milioner dostaje niedużego potem komplikacji żołądkowych i lekarze ratują go od śmierci niezwykłą dietą; Rockefeller może odżywiać się jedynie kobiecym mlekiem. Wkrótce wypadają mu włosy, rzęsy i brwi — najbogatszy człowiek świata staje się mumią szalenie podtrzymywaną przy życiu. Jednakże wewnętrzne siły jego przelamują chorobę i Rockefeller odzyskuje zdrowie, oddając się z konieczności znużeni-

widzonym ćwiczeniom sportowym. Odtąd do końca swego życia będzie musiał pobozny kwakier grać w golfa, a niedawny grabieżca cudzych kapitałów rozdawać setki milionów na cele dobroczynne. Albowiem w razie śmierci multimilionera podatek spadkowy pochłonąłby takie sumy, że lepiej od razu je rozdzielić. Wtedy to Rockefeller staje się filantropem i — całkiem niespodziewanie Wielkim Jalmużnikiem U. S. A.

Przewidział to, którego doczekał się ten najbezważniejszy z amerykańskich businessmanów zasługując w zupełności na usprawiedliwienie. Krocie milionów, wydanych przez niego na cele publiczne, oszołamiają najzawziętszego wroga przedsiębiorczości prywatnej. Odsunawszy się od udziału w biegu swych interesów, poznaje Rockefeller przełożonego kościoła baptystów, wielbego Gates, i pod jego wpływem poczyna organizować trust dobroczynności (*Benevolent Trust*). Rozproszone dotychczas ofiary milionera zostają centralizowane. Rockefeller funduje uniwersytet w Chicago dotując go sumą 40 mil., zakłada Instytut medyczny (*Rockefeller Institute for Medical Research*) przeznaczając nań drugie 40 milionów, powołuje do życia „*General Education Board*”, ustanawiając fundusz stypendialny w kwocie 120 milionów, 80 milionów przeznacza na zakład wychowawczy „*Laura Spelman — Rockefeller Memorial*”, a w końcu 1913 roku zakłada słynną „*Rockefeller Foundation*” mającą swoje siedziby we wszystkich większych miastach całego świata. Fundacja ta niesie pomoc ofiarom katastrof żywiołowych, wojny, epidemii i t. p., z zasiłków tej fundacji odbudowuje się zniszczona podczas wojny katedra w Reims, fundusze jej idą na odnowienie Versалу i Trianon, Liga Narodów korzysta nieraz z pomocy Funduszu Rockefellera itd. itd.

Podobnie jak w gromadzeniu fortuny natykał Rockefeller na ustawiczne przykrości i zarzuty, tak samo w rozdawaniu zdobytych dóbr nie idzie mu łatwo: opinia publiczna oskarża milionera, że oddaje pieniądze jedynie ze strachu przed mogącym wejść w życie ustawami, że chce sobie kupić popularność itp. Co gorzej, baptysty, których obdarzył hojną ręką, wzdrgają się przed przyjęciem „tych brudnych pieniędzy”, ściągając na głowę dobroczyńcy przekleństwa zamiast błogosławieństw. Wszystko to wyczerpuje do tego stopnia energię tego niezłomnego człowieka, że wycoufuje się całkowicie z życia publicznego, rozdarowując resztę posiadanych pieniędzy. W chwili śmierci pozostawił ten multimiliarder załedwie — 25 milionów dolarów.

Ostatnie dni żywej mumiі wpływają na monotonizm, z zegarkiem w rękę regulował trybie życia. O siódmej „pobudka”, potem pięć posiłków przegrodzonych spacerami, golfem i automobilową przejażdżką, a o dziesiątej wieczór sen. Zadnych kłopotów finansowych, żadnych wzruszeń, żadnych nowych dobroczynności, żadnego życia umysłowego. Jedyny zbytek i przyjemność, na którą pozwalał sobie milioner, to ogrody, jedne z najpiękniejszych w Ameryce. Poza tym nie prócz życia, by w setną rocznicę urodzin mógł jeszcze osobliwie drygować orkiestrą, która by grała stare pieśni z czasów jego młodości. Jest to jedyny jego życzenie, które nie zostało spełnione...

Minał Rockefeller, minęła twórcza epoka wielkich kapitałów i rozmach iniejątych prywatnej. Wszystko to dziś wydaje się jakąś bajką, fantazją ze stu i jednej nocy. Pozostała jedynie nafta, ujęta w karby techniki i paragrafów, oraz rockefellerowskie miliony, rozprzeżerzone w jego fundacjach na całym świecie.

ADRIAN CZERMINSKI

KSIĄŻKI CIEKAWE







JAN BRZĘKOWSKI

## MALARSTWO MAXA ERNSTA

Nadrealizm malarski kroczył zupełnie innymi drogami, niż nadrealizm poetycki Bretona. O ile nadrealiści-poeci stosunkowo rzadko urzeczywistniali w swych dziełach ową nadrealność poetycką, o tyle twórczość nadrealistów-malarzy o wiele bardziej odpowiadała dążnościom podkreślonym już w samej nazwie kierunku. Poetów nadrealistycznych wykołajała coraz to bardziej zaznaczająca się przewaga tendencji społecznej nad wartościami artystycznymi, owa „rewolucja nadrealistyczna”, która później przeszła — wraz ze zmianą nazwy piśmi — w „nadrealizm w służbie rewolucji”, jak brzmiał oficjalny tytuł ostatniego organu grupy nadrealistycznej. Wynikiem tego było coraz to większe podporządkowanie poezji sprawom społecznym. Tego rodzaju pojmowanie stosunku sztuki do zagadnień społeczno-politycznych doprowadziło secesjonistę nadrealistycznego Aragona do czynnego zaangażowania się w politykę i do... fotela naczelnego redaktora *Ce Soir*, Desnos, Ribemont-Dasseignesa, Barona i in. — do wystąpienia z grupy przy akompaniowaniu obelg pod adresem Bretona, a samego twórcę szkoły, Bretona, oraz pozostałych w grupie poetów nadrealistycznych, Eluarda i Pereta, — do przykrzych rozczarowań na „kongresie pisarzy antyfaszystowskich” i przeciwstawienia się komunizmowi w imię permanentnej rewolucyjności. To podporządkowanie poezji służbie społecznej wytworzyło również paradoksalną sytuację, że pod wieloma względami nadrealistycznym poeta był nie Breton, Aragon czy Eluard, ale człowiek nie należący nigdy do grupy: Pierre Jean Jouve, który najpełniej wykorzystał poetycko głoszoną przez nadrealistów teorię Freuda.

Wzręcz przeciwna sytuacja istniała w dziedzinie malarskiej. Główni przedstawiciele malarskiego nadrealizmu byli w tym szczęśliwym położeniu, że mogli niezależnie korzystać z twórczego bodźca, jakim był *Manifest nadrealizmu* Bretona. Pracując w innej dziedzinie, nie ulegali wpływowi szefa szkoły, nie byli narażeni na konflikty z nim i mogli bardziej samodzielnie tworzyć własne malarsko nadrealistyczne. Dlatego nadrealizm malarski wypracował nową koncepcję malarską, mniej może związaną z samym manifestem grupy, ale za to bardziej zwartą i charakterystyczną. Malarsko nadrealistyczne, w przeciwieństwie do sytuacji istniejącej w zakresie poezji, różni się bowiem od kubizmu czy kierunków post-kubistycznych nie tylko samą metodą tworzenia, ale także i formą. Obrzę nadrealistyczny można natychmiast odróżnić od obrazu kubistycznego; wiersz nadrealisty pod względem formy niewiele się różni od wierszy innych poetów reprezentujących nową poezję. Powiedzmy ściślej: wiersz nadrealisty Bretona w zakresie formy nie jest bardziej posunięty naprzód niż np. niektóre wiersze Apollinaire'a, istnieje między nimi raczej różnica indywidualności tylko, taka sama jak up. między wierszem Bretona a wierszem nadrealisty Eluarda.

Malarsko nadrealistyczne opracowało za to własną formę. Było ono wyraźnym przekreśleniem dyscypliny kubizmu, występowało zarówno przeciw deformacji, jak i geometrycznej konstruktywności malarskiego kubistycznego i postkubistycznego. Malarze nadrealistyczni przeciwstawili się jednak przede wszystkim samej formalnej tylko koncepcji sztuki, lansowanej przez kubistów, opowiadając się za wprowadzeniem do obrazu także czynników bezpośrednio zaczerpniętych z natury. Ten fakt nie przeszkodził im jednak w wytworzeniu własnej „nadrealistycznej” formy.

Pod tym względem najbardziej reprezentatywnymi malarzami nadrealistycznymi są: Chirico, Max Ernst, Miró i Tanguy. Każdy z nich ma własną koncepcję formy i — należy to również powiedzieć — nadrealizmu. Chirico łączy antyrealistyczne przedmioty, których prawie nie deformuje. Jego konie wśród greckich kolumn, szafy i krzesła trzymające się ukośnie na równiach pochyłych w pozycji urągającej sile ciężkości i t. p. zestawienia nerealistyczne przedmiotów mają istotnie nadrealny charakter, gdyż są niezwykle jaskrawym protestem metafizyki

<sup>1</sup> MAX ERNST: *Oeuvres de 1919—1936*. Edition „Cahiers d'art”, Str. 120, Paris 1937.



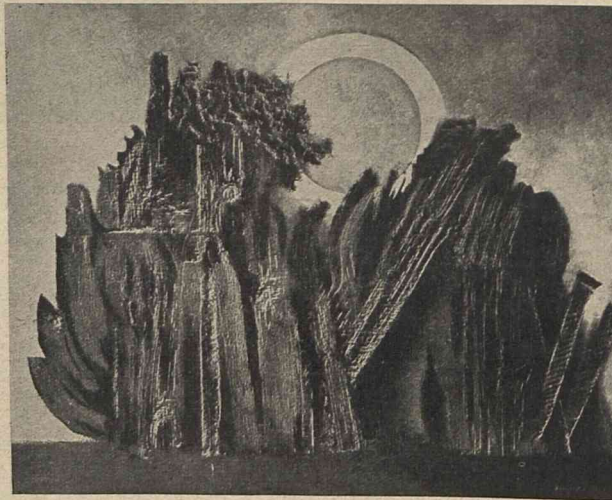
MAX ERNST

NIMFA ECHO

przeciw „nawnemu realizmowi” życia codziennego i przyrody, Joan Miró był tym malarzem nadrealistycznym, który najdalej posunął kult formy, ale kubistycznej kanciastości i konstruktywności przeciwstawił Miró formy zaokrąglone i — że się tak wyrazi — „solipsystyczne”. Yves Tanguy wreszcie był najbardziej „freudyście” spośród nadrealistów — jego forma zespolona jest ściśle także z naukami przyrodniczymi, z embriologią, bakteriologią itp.

Z bretonowską koncepcją nadrealizmu najbliższe związany jest Max Ernst<sup>1</sup>. Ze wszystkich malarzy nadrealistycznych Max Ernst najbardziej przejął samą metodę nadrealizmu. Automatyzm pisarski Bretona, owa słynna „écriture mécanique” nadrealistów — znalazła swój odpowiednik u Ernsta w t. zw. „frottage”, t. j. zdolności kojrzenia wyobrażeń malarskich i wywoływania wizji pod wpływem mechanicznego rysowania. Ten proces daje tym ciekawsze rezultaty, że Ernst ma wyobraźnię nie tylko malarską, ale i poetycką. Wyraża się to zarówno w samej formie jego malarskiej, jak i w tytułach, które są niezwykle sugestywne i zachowują zdolności wywoływania wyobrażeń (jak np. *Młoda chimera w sukni wieczorowej*, *Dwoje dzieci zagrożonych przez słońca* itp.). Dzięki temu „tarcu wyobrażeń” fantazja Ernsta obfituje w wytwory niespodziewane, ale tym silniej oddziałujące. Posiadają one przede wszystkim zdolność wzruszenia i zadziwienia. Wyobrażenia malar-

skie Ernsta mają charakter obsesji, którą usuwa dopiero wyzwolenie jej przez otwarte przeniesienie przesładującej wizji w świat rzeczywistości malarskiej i spoglądanie ekspresji dzięki zestawieniu z czymś równie nieoczekiwanym jak sugestywnym. Nadrealistyczny świat wyobrażeń Maxa Ernsta, owe kobiety w gorsetach z r. 1900, sny o wodzie i ogniu, szkielety zwierząt przedpopowych, dziwaczne owady, płazie zaludnione chimarami, lasy zbudowane z miększu i stolicy ze słojów drzewnych, ogrody „lapperoplany” — ten arsenal dziwności świata nowoczesnego Hieronima Boscha jest światem pełnym. W fantazji Ernsta nie ma pustych miejsc, waty — jest ona wypelniona wyobrażeniami i formą. Niezwykłość zestawień, jakie wywołuje to „tarcie wyobrażeń”, nadaje malarsztwu Ernsta specyficzny charakter, stawiając je na pograniczu rzeczywistości nas otaczającej i rzeczywistości budowanej przez metafizykę. Ernst nie posługuje się jednak, jak Chirico, formami wyrażającymi bezpośrednio przedmioty istniejące w naturze, ale od razu nadaje im własną formę i to często nie tyle powodowany analogiami barw i kształtów, lecz raczej wiedziony swą fantazją poety. Jego lasy, stolicie i drzewa, „wizje wywołane przez bramę St. Denis w nocy” czy metalo- we ogrody nie są jednak oparte tylko na nadrealistycznej fantazji. Zazwyczaj towarzyszy jej bowiem także równie silne wyczuwanie formy, można by nawet powiedzieć —



MAX ERNST

LAS I SŁOŃCE

formy integralnej. Te obrazy należą może do najpiękniejszych.

Max Ernst jest jednym z głównych twórców, a w każdym razie głównym reprezentantem, techniki polegającej na posługiwaniu się „wycinankami”, na nalepieniu ich i łączeniu przy pomocy rysunku. Te „collages” nie zawsze są jednak „nalepiankami”. Często tego rodzaju nazwą określa Ernst obrazy, które powstały bez użycia kleju i noży. Są to może najbardziej „nadrealistyczne” rzeczy Ernsta.

Czynnikiem, który najbardziej uderza u Ernsta, jest natarczywość wyobrażeń i ich różnorodność. Nie używa on pewnych form do znużenia, jak Picasso gitar czy arlekinów, ale po ich pełnym wyzyskaniu szuka i znajduje nowe formy. Ernst nie chroni się w rzeczywistości malarską przed naporem życia, jak to zazwyczaj się dzieje u artystów. Wręcz przeciwnie: jego „nadrealna” wyobraźnia zawiera w sobie elementy nie obrony, lecz ataku. Nie ma tu ucieczki z jednej rzeczywistości w drugą, ale budowanie własnej rzeczywistości. Ernst czyni to aktywnie, agresywnie, twórczo. Chwilami przybiera to tak sugestywny charakter, że zatracca się świadomość życiowych konwencji i bierze się nadrealizm Ernsta za realizm tout court. Czyż można marzyć o bardziej pełnym zwycięstwie wyobraźni?

JAN BRZĘKOWSKI

## PRZEGLĄD PRASY

Zagadnienia teorii literatury i metodyki badań krytycznych rozkazuje się wciąż, do znużenia. Zazwyczaj zabierają głos ludzie niepowołani, przy czym im kto mniej ma do powiedzenia, tym z większym występek hałasem. Tak np. Henryk Życzyński wystąpił niedawno z prześlicznym artykułem o nowinkarstwie w polonistyce (por. *Przeto z mostu nr 27*). Dowiadujemy się z niego, że w ruchu nowinkarskim „bierze również udział filozof, Roman Ingarden, który dawniejszą swą pracę niemiecką, którą dźwiży w opracowaniu polskim (sic) p. t. *O poznaniu (!) dzieła literackiego*. Nb. główna księżka Ingardena *O po z r a w a n i u dzieła literackiego* nie jest brzydnym przedmiotem lecz kontynuacją niemieckiego dzieła tego uczonego *Das literarische Kunstwerk*.

Po długim i mętnym wywodzie, w którym nie wiadomo po co cytowani są Dragomirescu i Lalo, Życzyński stwierdza: „Należy więc powiedzieć wyraźnie, że polonista-nowinkarz, pozbawiony kultury i patriotyzmu, może być tylko szkodnikiem”. Mocno i pięknie powiedziane. Ale patriotyzm, we właściwym znaczeniu tego wyrazu, nakazywałby również zdawać sobie jasno sprawę ze swoich kompetencji i działać w granicach nimi określonych.

Należy tedy powiedzieć wyraźnie: kto jak kto, ale uczony o tak nadszarpanej opinii jak prof. Życzyński nie ma absolutnie prawa do udzielania autorytarywnych i aroganckich pouczeń swym kolegom zawodowym.

Inne refleksje budzą głosy młodych polonistów, wykazujących często pracowitość i dobrą wolę, ale przy tym, niestety, słabą kompetencję w zakresie swojej dyscypliny naukowej. Trudno np. zrozumieć, co mogło skłonić redakcję *Ruchu Literackiego* (ob. nr. 3—4 za marzec-kwiecień r. b.) do zamieszczenia na swoich łamach studenckiego wypracowania Lewańskiego, znakomicie macącego i tak już zamęczone sprawy. O książce Ingardena ogłosił niedawno obszerniejszą recenzję miłośnik krakowski polonista, Józef Spytkowski (zob. *Gazeta Polska* z dn. 23 czerwca), dając na ogół wierne streszczenie i inteligentne omówienie tego dzieła; i on jednak nie ustrzegł się od takich studenckich kwiatków: „To, że dziś nie odczuwamy potrzeb metody psychologicznej, jest następstwem braku głębokiego liryzmu (sic) w dzisiejszej literaturze... Rozkwit psychologizmu w krytyce przypadł na lata kultu osobowości — dzisiejsza epoka scharakteryzowana w zdaniu „nie ma ludzi” musiała (!) sobie wytworzyć bezosobowy typ badań nad sztuką”. Co ta uroczyście frazeologia ma wspólnego z rzeczywistością? t. j. z rozpozyciem, jakże spóźnionym, pracy nad polską poetyką — trudno zgadnąć.

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 17 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.  
Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Józef Czechowicz

WYDAWCA: Wilam Horzycy